

Jak napisałem swój „Prometeizm”?

Sergiusz Mikulicz

Data narodzin tego ruchu ideowo-politycznego nie jest sprecyzowana. W umysłach narodów stopniowo podbijanych przez Księstwo Moskiewskie – musiał się on narodzić już dawno. I zawsze u podstaw wszelakich rozważań leżało pytanie – „Jak rozbić Rosję po szwach narodowościowych?”. Te „szwy narodowościowe” przypisywane są lata później albo Józefowi Piłsudskiemu albo Józefowi Beckowi, choć wtedy myślano już nie o carskiej Rosji, a o ZSRR.

Samo mówienie o prometeizmie w czasach PRL było, co najmniej czymś niestosownym, a czasami wręcz niebezpiecznym. Nie kryję, że inspiracją do rozpoczęcia myślenia o napisaniu książki o prometeizmie była praca Józefa Lewandowskiego w „Biuletynie Naukowym WAP”, seria historyczna Nr 2/12 1958, Nr 1/4 1959. Autor naszkicował główne założenia ruchu, dając między wierszami do zrozumienia, że temat jest pasjonujący i piekielnie trudny, zważywszy na realia polityczne PRL. Jak pisze Józef Łobodowski w „Niepodległości” – londyńsko-nowojorskiej (tom 9, 1974 r.): *„Żaden ruch polityczny w okresie między dwiema wojnami nie był tak znienawidzony przez bolszewików jak ruch prometejski, którego główne ośrodki znajdowały się w Warszawie i Paryżu. Lenin i Trocki na samym początku rewolucji zorientowali się, że imperium grozi śmiertelne niebezpieczeństwo ze strony niepodległościowych dążeń narodowych. (...) Ze zrozumiałych powodów najbardziej chodziło im o Ukrainę. Oderwanie się niepodległej Ukrainy rozwaliloby imperium definitywnie. Gdyby bolszewikom nie udało się ponownie opanować Kijowa, musiałyby jednocześnie zwyciężyć ruchy separatystyczne gdzie indziej: na Kaukazie, Kozaczyźnie, w Turkiestanie...”*

Przystępując, jeszcze nie do pisania, a dopiero do myślenia o przyszłej książce, nie mogłem nie brać pod rozwagę mych osobistych uwarunkowań: byłem dygnitarzem PRL średniej rangi (Dyrektor Biura Współpracy z Zagranicą w Komitecie „Polskie Radio i Telewizja”) i oczywiście członkiem PZPR. Postanowiłem więc pisać o prometeizmie – podlewając całą tematykę „sosem pro-radzieckim”, tam, gdzie się tylko dało. Żaden poważny badacz, a tym bardziej uważny analityk służb specjalnych, nie mówiąc już o samej stronie radzieckiej na nic takiego nabrać się nie da, ale własne polskie grono partyjne (dość prymitywne intelektualnie) plus nasza własna cenzura – kto wie? Zacząłem tam, gdzie należało zacząć: od stwierdzenia, że akta Drugiej Ekspozytury II Oddziału Sztabu Generalnego Wojska Polskiego znajdują się w gestii Biura „C” Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Dyrektorem tego Biura był płk. Zabawski – stary funkcjonariusz organów bezpieczeństwa, bodaj jeszcze z okresu kujbyszewskiego (ZSRR szkolił tam, jeszcze w czasie wojny, kadry przyszłych służb PRL).

Zabawski przyjął mnie uprzejmie, ale gdy wyłuszczyłem mu sprawę – mocno się usztywnił (dosłownie). „Nigdy w życiu, towarzyszu Dyrektorze, nigdy w życiu, póki ja tu jestem nie dostaniecie dostępu do tych materiałów”. I już nieco łagodniej: „Zrozumcie, to jest temat tabu. Co by sobie towarzysze radzieccy pomyśleli, gdyby taka książka ukazała się w Polsce? Sam temat, powtórzę SAM TEMAT, jest w Moskwie przysłowiową płachtą na byka, niezależnie od „prawidłowego ideologicznie” naświetlenia tej sprawy”.

Był rok 1969. Ministrem Spraw Wewnętrznych był Mieczysław Moczar, który w podjazdowej walce z Gomułką miał swój okres „kokietowania” Armii Krajowej i niektórych środowisk intelektualnych. I wtedy postanowiłem napisać odwołanie od decyzji Zabawskiego do samego Moczara. Moczar postawił ją – informacyjnie – na kolegium Ministerstwa i zdecydowano, że MSW wyrazi zgodę na dostęp Mikulicza do archiwum prometejskiego, pod warunkiem, że uczulona będzie cenzura (Główny Urząd Kontroli Prasy) i że nakład będzie ograniczony – przeznaczony w zasadzie tylko dla placówek naukowych.

Tak też się stało. Materiały, które otrzymałem były wręcz porażające – wspaniałe. Niektóre dokumenty zapierały – dosłownie – dech w piersiach. Niektóre cytuję dosłownie w swej książce, czasem postaci fotokopii. Książka ukazała się w roku 1971, wydana przez „Książkę i Wiedzę”. W tym miejscu – niespodzianka: Główny Urząd Kontroli Prasy nie okazał się gilotyną tnącą, co się tylko dało. Odwrotnie – zachowano się przyzwoicie. Wycięto mi około 10% tekstu, co dało się wytrzymać.

Miałem świadomość, że w porównaniu z moim doktoratem (*Od Genui do Rapallo* – 1966), mój *Prometeizm* jest warsztatowo książką słabszą, niekiedy wpadającą w żargon dziennikarski. Mój promotor z Uniwersytetu Jagiellońskiego, znakomity historyk, profesor Henryk Batowski, niemiłosiernie się wiele razy krzywił. On z resztą też nie był entuzjastą podnoszenia tego tematu („Po co Panu kłopoty?”). Tak, czy owak, książka się ukazała. Ma przeszło 300 stron i omawia sprawę prometeizmu głównie w aspekcie ukraińskim, narodów kaukaskich (pierwszą łączność nawiązał z gruzińskimi wojskowymi emigrantami – polski attaché wojskowy w Stambule już w roku 1921), emigracji kozackiej (kozacy kubańscy, terscy, krymscy i dońscy) i Turkiestanu. Szczegółowo omawiane są wysiłki scalenia emigracji różnych narodów kaukaskich w jeden ruch polityczny – co zważywszy na tradycyjnie prorosyjską orientację Armenii, nie było proste. Książka prezentuje zarys organizacyjny prometeizmu w wydaniu polskim, również od strony budowy sieci przerzucającej na teren ZSRR grupy wywiadowcze. Sporo mówi się w książce o kontaktach międzynarodowych (Japonia, Włochy) z krajami również interesującymi się prometeizmem. Książka przedstawia też wykaz niemal wszystkich emigracyjnych czasopism i periodyków publikowanych w Warszawie, Paryżu, Pradze, Berlinie, Bukareszcie i Stambule.

Mimo braków w zasobach archiwalnych, książka jest pierwszą, szeroką próbą naszkicowania działań prometejskich między dwiema wojnami. Wielokrotnie, z naciskiem mówi się w książce o problemach „górali kaukaskich” (czytaj: Czeczenów) i ich wysiłkach znalezienia antyrosyjskiej formuły na utworzenie załączków organizacji politycznej. Oczywiście, publikacja omawia również aspekty finansowe działalności prometejskiej, a także jej „cywilnych” form bytowania (m.in. Instytut Wschodni).

Recenzji – jak się należy domyślać – nie było prawie w ogóle. Cisza. Ale była to cisza przed burzą, bo oto w roku 1973, w numerze 1-2/304-305 paryskiej „Kultury”, na stronach 112-116 ukazała się recenzja mej książki, pióra Józefa Lewandowskiego (wyemigrował z Polski w 1968 roku). Autor ocenia książkę dość krytycznie jeśli chodzi o metodykę, ale podsumowuje swoją recenzję słowami dla ucha autorskiego raczej miłymi: a to, że „pracę trzeba ocenić jako pożyteczną”, a to, że autorowi należy wyrazić „uznanie i szacunek” za cytowanie w książce nazwisk historyków emigracyjnych, a to, że „jest zasługą autora, że przerywa ciszę wokół tematyki prometeizmu”.

Czytałem recenzję paryskiej „Kultury” wielokrotnie, za każdym razem zadając sobie pytanie: „Dowalą mi, czy nie dowalą?” Minął rok. Nie „dowalili”. Nie czytali? Ktoś nie zauważył? To nie możliwe, zbyt dobrze znałem kulisy i trybiki władzy, by nie wiedzieć, że ktoś jednak zauważył. Ale póki co – cisza. Minął rok. Mamy rok 1974, w którym ukazał się tom IX „Niepodległości” – wydawanego w Londynie i Nowym Jorku periodyku. W tym tomie (prawie 500 stron) ukazała się, piórem Józefa Łobodowskiego, recenzja mego *Prometeizmu*. Recenzja odsądza mnie od czci i wiary, jako historyka prosowieckiego, choć jak na Łobodowskiego – jest dość łagodna. Recenzja jest obszerna (*vide* strony 411-419). Mój „sos proradziecki” stanowił główną pożywkę całej recenzji. Ale powodów do obaw miałem aż nadto, bo oto czytamy, że „trzeba przyznać Mikuliczowi, że włożył w swoją książkę wiele pracy i zebrał mnóstwo materiału pochodzącego z najróżniejszych źródeł (...)”. Dalej jest już coraz gorzej (dla mnie): „Czytelnik tej książki, który nie ma własnego zdania ani możliwości sprawdzenia, znajdzie tu bardzo bogaty materiał, mnóstwo informacji, powoływania się na dokumenty, rzeczowych odsyłaczy(...)”. No i teraz to najgorsze: „Pracę Mikulicza należy uznać za POTRZEBNĄ (podkr. moje) a nawet POŻYTECZNĄ (podkr. moje). Trzeba tylko umieć odgarnąć na stronę fałszerskie opinie i tendencyjne komentarze i samodzielnie przebadać dostarczony materiał. Jest on niekompletny, ale dostatecznie bogaty, by go nie lekceważyć. I jest to w ogóle pierwszy zbiór tak licznie zgromadzonych dokumentów”.

Taka recenzja to mógł być dla mnie wyrok, z usunięciem ze stanowiska i utratą legitymacji partyjnej włącznie. W każdym innym kraju, czy to w NRD, Czechosłowacji czy nawet na Węgrzech – autora takiej książki jak *Prometeizm*

po takich recenzjach odsądzono by od czci i wiary (partyjnej) i zesłano do jakiegoś archiwum na referenta. Ale nie w Polsce...

Jest rok 1975. Ja jestem przeszło 10 lat Dyrektorem Departamentu (wcześniej Biura) Współpracy z Zagranicą w Komitecie „Polskie Radio i Telewizja”. Moim szefem jest wszechwładny „Krwawy Maciek” – prezes Maciej Szczepański, niezwykle blisko stojący Edwarda Gierka. Sekretarzem Komitetu Centralnego PZPR ds. prasy, radia i telewizji jest Jerzy Łukaszewicz, ze Szczepańskim liczący się nad wyraz. I oto dzwoni na moim biurku telefon rządowy. „Tu sekretariat towarzysza Szydłaka. Jesteście proszeni do tow. Szydłaka na najbliższy piątek, na godzinę dziesiątą. W jakiej sprawie?” – pytam. „Dowiecie się na miejscu” – pada niegrzeczna odpowiedź. Nie skojarzyłem tego zawezwania z *Prometeizmem*. Co ma do tego Szydłak – sekretarz ds. ideologicznych, członek Biura Politycznego, trzecia osoba w PRL? Okaże się, że miał.

Wchodzę do jego gabinetu i widzę, ku memu zdumieniu siedzącego tam – obok Szydłaka – Jerzego Łukaszewicza, też sekretarza KC PZPR. Co więcej, podczas gdy Szydłak ma ponurą minę, Łukaszewicz przyjaźnie się uśmiecha, a nawet mruga!!! Oznacza to mniej więcej tyle: „Szydłak musi Was opieprzyć, no, bo musi. Ale nie przejmujcie się, wszystko będzie dobrze.” Łukaszewicz wiedział oczywiście, bo znał mnie, o moich bardzo dobrych stosunkach z Maciejem Szczepańskim. To była moja „polisa ubezpieczeniowa”, mój ochronny parasol. Szydłak zaczął brutalnie, podniesionym głosem: „Towarzyszu Mikulicz, jak to jest, że nasi zawzięci wrogowie z „Kulturą” paryską na czele Was chwala? Co Wy o tym sądzicie?”. Kątem oka widzę, że na biurku leży zarówno „Kultura”, jak i „Niepodległość”. Pomyślałem sobie, że spróbuję od półżartu: „Towarzyszu Sekretarzu, jak zegar na peronie kolejowym, na małej stacyjce stoi, bo się popsuł, to dezinformuje on pasażerów, to oczywiste”. Tu Szydłak przerwał mi: „Co wy mi tu o jakiś zegarach! Mówcie na temat!. Tak jest,–” odpowiedziałem karnie – „ale z tym zegarem jest jak z niektórymi publikacjami naszych przeciwników. Stojący zegar kłamie, ale jednak dwa razy na dobę pokazuje prawidłowy czas! Tak i naszym przeciwnikom ideologicznym czasem zdarza się powiedzieć prawdę. Moja książka jest naprawdę niezła, tak właśnie uważam”. Słyszę z tyłu życzliwy śmiech Łukaszewicza. Ale i Szydłak nie wytrzymał zwracając się do Łukaszewicza: „Ale sobie wymyślił z tym zegarem, co Jurek?”. Wtedy, dopiero wtedy zaproponował mi kawę. A potem już była „gadka – szmatka”, o wszystkim, o naszej propagandzie na zagranicę, o braku dobrej techniki telewizyjnej itd. Byłem uratowany. Zdawałem sobie sprawę, że gdybym nie był w łaskach u Szczepańskiego, który mnie lubił i cenił (o czym Łukaszewicz wiedział), to nikt by palcem nie kiwnął w mej obronie. I tak się skończyło. Na razie.

W latach 1979-1982 byłem ambasadorem w Kambodży, w arcytrudnych warunkach bytowych. Wróciłem do Komitetu ds. Radia i Telewizji w roku 1987,

na 4 lata. Gdy w roku 1990 prezes Andrzej Drawicz zaproponował mi objęcie stanowiska Sekretarza Generalnego OIRT (Międzynarodowej Organizacji Radia i Telewizji) w Pradze, szczerze się ucieszyłem. Rozpoczęła się żmudna kampania pozyskiwania poparcia wśród członków organizacji. Nie miałem z tym żadnych problemów. Wszyscy byli „za”. Zgromadzenie Ogólne OIRT miało się odbyć w czerwcu 1990 roku w Budapeszcie. A tu nagle, jej dotychczasowy sekretarz – Gienadij Codr (Czech), niewątpliwie człowiek zaufania Moskwy informuje nas, że towarzysze węgierscy nie są gotowi i Zgromadzenie odbędzie się jesienią. Dzwonię do Budapesztu i pytam, o co chodzi. Są zdziwieni. Nikt nie wie o żadnych trudnościach. Czyli Codr coś kręci. Przekłada termin. Dlaczego? Przekładał potem jeszcze kilka razy z września na październik, potem na listopad, potem na styczeń, potem na luty 1991. O co chodziło? A o to, że w Polsce odbywały się zimą 1990 r. wybory prezydenckie, które – prawdopodobnie – wygra Wałęsa. Jeśli wygra Wałęsa, to nazajutrz po swym wyborze wyrzuci znienawidzonego Andrzeja Drawicza wraz z jego ludźmi. A więc i ze mną włącznie. Wtedy Mikulicz nie będzie kandydował na stanowisko Sekretarza Generalnego OIRT, bo ludzie Wałęsy wywalą go z pracy. Rozumowano logicznie. Skąd Codr czerpał takie pomysły, by przekładać termin Zgromadzenia? Bo go o to proszono.

W tym miejscu przypomnę swoją rozmowę w Moskwie, w roku 1990 z moim radzieckim odpowiednikiem – Walerim Łazutkinem, któremu ówczesny wiceprezes Telewizji ZSRR, Primakow, powiedział mniej więcej tak: „A Ty przedaj Twojemu Mikuliczu, czto my jego prometeizma nigdy nie zabudiem” (czyli, że strona radziecka nigdy nie zapomni mi mego *Prometeizmu*). Kto jak kto, ale Primakow miał dane, aby tak mówić: niedługo potem został szefem Służby Wywiadu Zagranicznego Rosji. A w Budapeszcie w marcu 1991 roku wybrano na Sekretarza Generalnego jakiegoś Czecha. Ja – nie pojechałem, bo mnie ekipa Terlecki (nowy prezes) – Markiewicz natychmiast zwolniła z pracy, mimo że obiecali Drawiczowi umożliwienie mojego wyboru na Sekretarza OIRT. I trzeba przyznać stronie radzieckiej dużą finezję, żeby nie powiedzieć kulturę polityczną, o której w Polsce można tylko marzyć: ukarano mnie za mój *Prometeizm*, ale zrobiono to polskimi rękami. Przewidziano po prostu polski sposób myślenia. Czapki z głów, panowie...

A teraz *pointa*, przyznaję, że niezwykła. Mój *Prometeizm* powielony na początku lat 90. bez mojej wiedzy stał się, już w wolnej Polsce, lekturą obowiązkową dla oficerów byłego Urzędu Ochrony Państwa. Ładna *pointa*! Gdyby jakiś nadgorliwy księgowy z UOP-u zaczął się martwić, czy należą mi się jakieś kwoty z tytułu nieprzestrzegania praw autorskich przez UOP, to informuję, że należne mi kwoty przekazuję niniejszym na fundusz operacyjny odpowiednich służb. Nie mogłem tej *pointy* przewidzieć w latach 70., ale jestem z niej dumny.

Mamy rok 2013 – minęło 20 lat jak Polska jako pierwsza uznała niepodległość Ukrainy. Zniknięcie ZSRR z mapy świata i jego rozbiecie na państwa narodowe stało się faktem. Chyba warto było pisać o tym już ponad 40 lat temu, choć wtedy były to tylko bardzo starannie skrywane marzenia.

Dr hab. Sergiusz Mikulicz – historyk, dyplomata, urzędnik państwowy; b. ambasador PRL w Kambodży (1979-1982), wieloletni dyrektor Departamentu ds. Współpracy z Zagranicą Komitetu ds. Radia i Telewizji, autor książki *Prometeizm w polityce II Rzeczypospolitej* – jednej z niewielu publikacji poświęconej prometeizmowi w czasach PRL



Po powrocie z jednej z podróży zastałem na biurku kopertę, zawierającą jak się okazało książkę dotyczącą Kambodży oraz zastanawiający tekst po tytule „Jak napisałem swój ‘Prometeizm’?”. Oczywiście tekst o prometeizmie nie był zaskakujący dla kogoś kto wykłada o prometeizmie, a już zwłaszcza dla osoby pełniącej zaszczytną funkcję przewodniczącego Komitetu Redakcyjnego „Nowego Prometeusza”. Zaskakujące było co innego – nazwisko autora. SERGIUSZ MIKULICZ...! Czyli nazwisko autora książki o prometeizmie, wydanej w czasach PRL-u i zawierającej, jak się na ogół uważa, ogromnie dużo nieprawdy, przeinaczeń i całego tego prosowieckiego lukru. Gdy wszakże książkę tę czyta się drugi albo trzeci raz, a zwłaszcza gdy się czyta już po dłuższej przerwie, już w wolnej Polsce, już z pewnym dystansem i świadomością czasów w jakich ona powstała, to okazuje się, że aż tak wielu kłamstw nie zawiera, że jest raczej rzeczowa, a nawet, że ten moskiewski lukier mdłości nie wywołuje, nawet że można go uznać za stonowany.

Autor na załączonym do przesyłki bilecie prosił o spotkanie. Postanowiłem się spotkać. Przyznam szczerze, że Sergiusz Mikulicz, mimo swojej niewątpliwej jednak zasługi w badaniach nad prometeizmem, właśnie dzięki wydaniu tej książki, jest wśród współczesnych badaczy osobą zupełnie zapomnianą. Przyznam się i ja, że nawet nie byłem pewien co się z autorem tej książki dzieje – żyje?, jakie losy, itd.

Rozmowa była dla mnie nad wyraz interesująca. Rozpocząłem ją, co prawda od bardzo jasnego i jednoznacznego wskazania, z jakimi kwestiami w tekście autora zupełnie się nie zgadzam, a wśród nich choćby z czymś w rodzaju urazy autora – wieloletniego wysokiego partyjnego urzędnika, pracownika MSZ i dyrektora Departamentu Współpracy Zagranicznej Komitetu Radia i Telewizji – mianowicie że został zwolniony ze stanowiska w czasie niepodległej Polski. Wydawało mi się to dosyć zabawne. Podobnie nie sposób było uniknąć uwagi na temat naszych zupełnie odrębnych poglądów i losów.

Poczyniwszy te wstępy i objaśnienia stanowisk przystąpiłem do rozmowy. Profesor Mikulicz okazał się osobiście bardzo miłym człowiekiem, bardzo ciekawym rozmówcą, prowadzącym zresztą niezwykle ciekawe życie zawodowe i pozazawodowe także już w wolnej Polsce. Spędziliśmy nieomal godzinę na zajmującej rozmowie. Wynikiem tego była idea przeprowadzenia z p.Mikuliczem obszernego wywiadu, z -koniec końców- autorem jednej z dwóch tylko książek, które w okresie PRL powstały na temat prometeizmu.

Ostatecznie sam tego wywiadu nie przeprowadziłem, ale dokonali tego jeszcze lepiej redaktorzy „Nowego Prometeusza”. Zapis rozmowy znajdują Czytelnicy na kolejnych stronach czasopisma.

Jan Malicki
Przew. Komitetu Redakcyjnego

Wywiad z Sergiuszem Mikuliczem

Redakcja N.P.: Zanim przejdziemy do rozmowy o Pana książce poświęconej prometeizmowi, proszę powiedzieć kilka słów nt. Pana biografii?

S. Mikulicz: Studia skończyłem w Szkole Głównej Służby Zagranicznej¹ w 1956 r., na kierunku dyplomatyczno-konsularnym. Po tym jak uczelnię tę zlikwidowano, bodaj w roku 1961, pomyślałem sobie, że nie można być magistrzem uczelni, która nie istnieje. I stąd wziął się pomysł o doktoracie na Uniwersytecie Jagiellońskim. Doktorat pisałem pracując jednocześnie w Ministerstwie Spraw Zagranicznych (Centrala, i ambasada w Kopenhadze, dużo wyjazdów służbowych np. Nowy Jork, Bagdad, Genewa. W Centrali pracowałem najpierw w Departamencie V, czyli ds. azjatyckich, a później w Gabinetie Ministra).

Już we wczesnych latach 50. jako bardzo młody człowiek wyjeżdżał Pan za granicę. Jak to się stało?

Jeszcze w czasie studiów, miałem wtedy 20 lat, jako że dobrze znałem język angielski (jako jeden z niewielu ówczesnie), zaproponowano mi wyjazd do Korei – jako członka Misji Polskiej do Komisji Nadzorczej Państw Neutralnych². To były lata 1953-1954, byłem tam prawie rok. Pracowałem jako tłumacz w mundurze wojskowym. Początkowo chciano abym zostałem na dłużej w Korei, ale ja napisałem rekordową ilość odwołań i prośb o pozwolenie na powrót do kraju, gdzie czekały studia i narzeczoną. Te moje prośby z resztą później zostały mi wytknięte. W moich IPN-owskich aktach są ubeckie notatki, mówiące że: „Mikulicz demoralizował otoczenie pisząc bardzo dużą liczbę podań o powrót do kraju”.

Co Pan robił po powrocie z Korei?

Po powrocie skończyłem drugi rok studiów, co prawda już na „trójkach”, ale najważniejsze, że rok mi nie przepadł. Później w lipcu 1954 r. „wybuchła” Genewa, czyli układy genewskie, które zakończyły się pokojem w Indochinach. Powołano trzy komisje: w Wietnamie, Laosie i Kambodży.

Wszystkie przypisy pochodzą od Redakcji.

¹ Polska uczelnia wyższa z siedzibą w Warszawie. Działała w latach 1950-1961, stawiając sobie za cel kompleksowe szkolenie przyszłych kadr polskiej dyplomacji. Obecnie jej działalność budzi mieszane oceny. Z jednej strony stanowiła kuźnię kadr dla stalinowskiego państwa, ale z drugiej jej absolwenci uważani byli na forum międzynarodowym za wysokiej klasy fachowców, zaś wielu z nich stało potem w pierwszym rządzie twórców polskiej nauki o stosunkach międzynarodowych, m.in. prof. Józef Kukułka czy prof. Janusz Symonides.

² Komisja Nadzorcza Państw Neutralnych nadzorowała zawieszenie broni pomiędzy Koreą Północną a Południową, które zakończyło wojnę w Korei (27 VII 1953 r.).

W naturalny sposób sięgnięto do osób, które były wcześniej w Korei. W ten sposób stałem się sekretarzem w Misji Polskiej do Międzynarodowej Komisji Nadzoru i Kontroli w Kambodży. Pojechałem tam już bez munduru. Po powrocie z Kambodży dokończyłem studia, pracowałem w MSZ, był doktorat.

Co działo się dalej w Pana życiu?

Po odejściu z MSZ zacząłem myśleć o habilitacji. Znalazłem się wtedy w dość kiepskiej sytuacji finansowej. Otrzymałem niewielkie stypendium z Polskiej Akademii Nauk.

Jakiś czas później trafiłem, trochę przez przypadek, do Komitetu ds. Radia i Telewizji, gdzie zostałem dyrektorem najpierw Biura, a potem Departamentu ds. Współpracy z Zagranicą. I byłem tym dyrektorem prawie przez 20 lat, „zaliczając” po kolei wielu prezesów, w tym tak ciekawych jak Sokorski, Szczepański, Urban, Drawicz.

Przejdźmy do samej pracy o prometeizmie. Skąd właściwie ten temat – niezwykle przecież w tamtych czasach kontrowersyjny? Łatwo się było narazić o zarzut podejmowania tematyki antyradzieckiej.

Każdy historyk, choć nigdy nie traktowałem się jako zawodowo pracującego w nauce, ma jakieś pasje, jakieś tematy, które „chodzą mu po głowie”. Ja miałem trzy: po pierwsze Rapallo – jako symbol porozumienia niemiecko-rosyjskiego, jako wstęp do kolejnych rozbiorów Polski. Rapallo zawsze było dla mnie synonimem wielkiego niebezpieczeństwa, obojętnie czy w roku 1922 czy – w innej, jeszcze gorszej formule, w dniu 17 września 1939 r.

I taką książkę Pan „popęłnił”³. To był Pański doktorat z 1963 roku. Książka wyszła 3 lata później. Nie miał Pan trudności w jej druku?

W zasadzie nie, choć nie brakło uwag w rodzaju – „A innych tematów to już nie ma na doktorat?”. Wiedziałem, że muszę tematykę Rapallo „podlać sosem proradzieckim” tak, aby książka stała się strawna dla cenzury i Wydziału Nauki Komitetu Centralnego PZPR. Pisałem swój doktorat pod kierownictwem naukowym śp. Profesora Henryka Batowskiego⁴, wielkiego uczonego, wykładowcy na Uniwersytecie Jagiellońskim. Doktorat pisany u Batowskiego to nie była łatwa sprawa, to był duży wysiłek i ogromny sukces. Wiele mu zawdzięczam.

³ Wydana przez wyd. Książka i Wiedza w 1966 r. praca *Od Genewi do Rapallo*.

⁴ Henryk Batowski (1907-1999), prof., historyk dyplomacji.

Powiedział Pan, że Rapallo to był punkt pierwszy tego co „chodziło Panu po głowie”. A punkt następny?

To właśnie prometeizm – wielka idea rozczłonkowania, kiedyś Rosji, a potem ZSRR po szwach narodowościowych.

W artykule pisze Pan, że inspiracją stała się praca na ten temat Józefa Lewandowskiego⁵.

To były lata 60. W prometeizmie i artykule Lewandowskiego zainteresowały mnie przede wszystkim kwestie wywiadu i polityki. Połączenie tych dwóch spraw zawsze jest interesujące. Zaczęło się od rozmowy z płk. Zabawskim, ówczesnym dyrektorem Biura „C” MSW, w którego gestii były archiwa „dwójki”, który stanowczo odmówił udzielenia zgody na korzystanie z tych materiałów. Sam temat konsultowałem oczywiście najpierw z prof. Batowskim.

Czy kiedy pisał Pan swoją książkę – kontaktował się Pan w tej sprawie z Lewandowskim?

Może na samym początku. Ale chyba tylko dwa telefony. Powiedziałem, że zainteresował mnie ten temat i, że chciałbym go opracować dokładniej. On powiedział, że to dobrze i zaoferował pomoc. Ale później kontakt się urwał. Później przyszedł rok 1967 i 1968, on zaczął mieć problemy i zdecydował się na emigrację. Mimo, iż jego pierwsza recenzja, ta pisana jeszcze w Polsce była pozytywna, to tę pisaną już na emigracji – dużo bardziej krytyczną wobec mojej pracy, uważam za zdecydowanie lepszą.

A ile trwała praca nad „Prometeizmem...”?

Dość długo. Zawsze pracowałem zawodowo. Pisałem przeważnie w trakcie urlopów – jeden urlop – jeden rozdział. Pięć lat i książka. Wymagało to dużo dyscypliny i zorganizowania. Pamiętam jak byłem kiedyś w Suchumi na urlopie samochodem, z żoną i pasierbicą i one bawiły się na plaży, a ja pod wielkim parasolem, z archiwaliami pracowałem nad książką. Pisałem na maszynie do pisania, mając w bagażu pełno archiwaliów w odpisach. Wtedy nie było jeszcze komputerów – koszmar (śmiech).

⁵ Józef Lewandowski (1923-2007), polski historyk, specjalista w zakresie historii Europy Środkowo-wschodniej i kwestii narodowościowych. Tu mowa o wersji drukowanej jego pracy magisterskiej: „*Prometeizm*” – koncepcja polityki wschodniej piłsudczyzny, „Biuletyn Wojskowej Akademii Politycznej im. F. Dzierżyńskiego”, cz. 1: 1958, nr 2 (12), s. 100-137, cz. 2: 1959, nr 1 (14), s. 31-52.

Proszę opowiedzieć o warsztacie pracy nad książką. Z jakich źródeł Pan korzystał? Czy były jakieś wywiady, wyjazdy?

Spotkałem się z Janem Gawrońskim, dyplomata, który w początkach lat 30. był radcą poselstwa RP w Ankarze, później w Wiedniu. Spotkaliśmy się w Warszawie, w jego mieszkaniu na Placu Zamkowym. Był zaskoczony ale i zachwycony, że chcę pisać na taki temat. Zachęcał mnie żebym jak najsilniej go przepytywałem i „maglowałem”. Jego syn Jaś Gawroński, obecnie włoski senator, wówczas był dziennikarzem telewizji włoskiej i z tego względu się znaliśmy. To on umożliwił mi spotkanie z ojcem. Opowiadał mi o tym na czym polegała idea prometeizmu, o organizacji pracy i przekazał wiele innych szczegółów, których oczywiście dzisiaj już nie pamiętam.

A może spotkał się Pan z Henrykiem Józewskim? Mieszkał wówczas w Warszawie na ul. Koszykowej?

Ciekawe... Nie wiedziałem o tym. Ja niestety nie miałem tyle czasu na szukanie, docieranie do poszczególnych osób. Ta książka nie jest solidnie napisana. Warsztatowo jest to najslabsza z moich książek. Nie wyjeżdżałem nigdzie zagranicę w celu przeprowadzania kwerend. Starałem się zachować ostrożność i nie „obnosić się” za bardzo z tym tematem. Bałem się, że w ostatniej chwili nie pozwolą mi wydrukować tej książki. Z tego też względu wychodziłem z założenia, że im mniej osób wie o tym, tym są mniejsze szanse na „utrącenie” mojej pracy. Poszukiwanie źródeł w ZSRR czy rozmowy z radzieckimi historykami mogłoby być samobójcze pod tym względem. Wolałem w zamian za to nawet wystawić się na zarzuty, że książka jest na wpół dziennikarska.

Z jakich archiwów tu w Polsce Pan korzystał?

Korzystałem ze zbiorów Centralnego Archiwum MSW i Archiwum Akt Nowych. Po tym, jak uzyskałem tzw. „zgodę polityczną” z korzystaniem z poszczególnych zespołów i teczek nie było problemu. Wolno mi było robić notatki, a nawet uzyskać kilka fotokopii. Warunki pracy myślę były takie same jak teraz – stoliki do pracy, wypełnianie rewersów. To były dokumenty przedwojenne, niektóre wzruszające. Pamiętam dobrze swoje wzruszenie kiedy czytałem dokument o tym jak Stanisław Zaćwilichowski⁶ egzaminuje wyjeżdżającego na placówkę teherańską sekretarza Poselstwa Domaszewicza, który miał nauczyć się na pamięć 10 stron maszynopisu z tajną instrukcją dla ówczesnego posła RP w Teheranie Stanisława Hempla⁷. Takie rzeczy czytało się z poruszeniem.

⁶ Stanisław Zaćwilichowski (1902-1930), por., oficer II Oddziału Sztabu Generalnego, sekretarz premiera Kazimierza Bartla, związany z ruchem prometejskim (1928-1930).

⁷ Stanisław Hempel 1893-1968; dyplomata; od 1909 aktywny w organizacjach niepodległościowych; legionista, (1915-1918) adiutant Komendy Naczelnej POW; 1917 sekretarz Komisji Woj-

Sugeruje Pan, że Minister Spraw Wewnętrznych Moczar, do którego się Pan odwołał, w ferworze walki frakcyjnej postanowił postawić na temat prometeizmu, dając zgodę na udostępnienie Panu archiwaliów?

Byłaby to gruba przesada, wręcz „naciąganie”. Nie. Nie stawiałbym, aż tak dalece posuniętej tezy. Zabawski⁸, dyrektor Biura „C”, był człowiekiem z tego zaciągu NKWD-owskiego, starego. Była to zatem w dużo większym stopniu rozgrywka personalna, złośliwość. Moczar pewnością nie uważał, że moja książka może być niebezpieczna – w końcu praca w archiwum to jedno, a sama książka – którą można jeszcze przepuścić przez sito cenzury – to drugie. Można było również ograniczyć nakład. Skoro można było utrzyć nosa Zabawskiemu – to czemu ten Mikulicz nie miałby napisać tej książki – takie chyba mogło być ówczesne rozumowanie Moczara.

Podejmowanie takiego tematu w czasach PRL, w latach 70. – to niemal samobójstwo naukowe i masa przykrości, czy tak?

I tak i nie. Należało tylko tego „sosu proradzieckiego” wylać jeszcze więcej. Jeśli ten sos odgarnąć to pozostaje modelowy „wzorzec” do spraw prometejskich – czyli studium jak prowadzić tę działalność w skali i państwa polskiego i w skali międzynarodowej. Stąd rozumiem decyzję Urzędu Ochrony Państwa, z wczesnych lat 90., już w wolnej Polsce, że uznał moją książkę za lekturę obowiązkową dla swoich oficerów.

Jest Pan z tego dumny?

No pewnie, choć pisząc tę książkę w latach 60. i 70. nie mogłem niczego takiego przewidzieć. Nikt nie mógł, żaden Zbigniew Brzeziński czy Jan Nowak-Jeziorański.

A czy nie było tak, że gdy jakikolwiek naukowiec zdecydował się podjąć taki temat jak prometeizm to natychmiast powiadamiani byli „radzieccy towarzysze”, którzy takiemu delikwentowi proponowali albo nagłą zmianę zainteresowań naukowych albo długie wczasy na Wschodzie?

Nie. To już nie były te czasy. To już były lata 70. Zależność od ZSRR była inna niż w latach 50.

skowej Tymczasowej Rady Stanu; 1917-1918 więziony przez Niemców w warszawskiej Cytadeli, Szczypiornie, Havelbergu i Modlinie; 1918 członek delegacji na Konferencję Pokojową w Paryżu; od 1919 pracował w dyplomacji, m.in. poseł RP w Iraku z siedzibą w Teheranie (do 1938).

⁸ Jan Zabawski (ur. 1910), płk. MSW, dyrektor Biura Ewidencji Operacyjnej/Biura „C” MSW (28 XI 1956-17 XII 1979)

W Pańskim artykule pisze Pan o stosunkowo i zaskakująco łagodnej przeprawie przez cenzurę. Proszę powiedzieć czy pamięta Pan co zostało „wycięte”?

Nie pamiętam aż tak dobrze. Było to rzeczywiście niewiele, bo jakieś 10% książki. Przypominam sobie np. że absolutnie nie do zaakceptowania dla cenzury było sformułowanie „rządy kaukaskie”, nawet w cudzysłowie. Ale i tak w sumie zachowano się całkiem przyzwoicie, bo mogli mi wszystko dużo bardziej „pociąć”. Nie miałem jednego, przydzielonego cenzora. Była ich grupa. To było jedno lub dwa spotkania z nimi. Naturalnie nie było żadnej dyskusji czy negocjacji nad tekstem. To były tzw. propozycje. Towarzyszu, proponujemy taką a taką zmianę. Wiadomo było, że trzeba się było podporządkować.

A kto decydował o wielkości nakładu?

Wydawnictwo „Książka i Wiedza”. Być może wydawca podjął decyzję w uzgodnieniu z kimś, ale nie wiem nic o tym. Ten nakład – niecałe 3 000 egzemplarzy, nawet jak na książkę naukową, jest niewielki. Myślę, że mogła do wydawnictwa trafić jakaś dyrektywa w tej sprawie.

Jeśli dobrze wsłuchać się w to co Pan opowiada, to książkę udało się „przepchnąć” i zamknięto temat.

W zasadzie nie było krajowych recenzji i rzeczywiście temat się skończył. Nie było zainteresowania ze strony żadnych służb ani krajowych ani radzieckich. Dopiero później wspomniano mi napisanie takiej książki – wtedy kiedy „utracono” mnie z prestiżowej funkcji kandydata na sekretarza generalnego Międzynarodowej Organizacji Radia i Telewizji.

Ale czy całą działalność prometejską uważa Pan za potrzebną i pożyteczną?

W mym ówczesnym „sosie proradzieckim” potępiał surowo działalność prometejską – ale dziś, bez autocenzury i cenzury powiedziałbym, że śledzenie struktur narodowościowych imperium sowieckiego było naszą powinnością, choć raział całkowity brak konsekwencji w tej sprawie. Wywiad – skrobał swoją „rzepkę” – inne służby tego samego Państwa Polskiego – swoją. Wywiad kokietował Ukraińców mieszkających na terenie ZSRR, a Korpus Ochrony Pogranicza, tu w Polsce, palił cerkwie w odwecie za akty terroru ukraińskiego. Palić cerkwie? Lepszej wody na młyn propaganda radziecka sama nie potrafiłaby wymyśleć. Tak więc, jak to często w Polsce bywa, brak było jednolitej, klarownej i spójnej polityki. Najlepiej doświadczył tego na swej skórze wojewoda Józewski, człowiek światły i dostrzegający konieczność harmonijnego współżycia z Ukraińcami. Endecja – duchowy ojciec

dzisiejszego PIS-u – uznawała tylko formułę – „Polak-katolik”. Prawosławny był już czymś gorszym. Tolerancja polska, tak szanowana w Europie w XVI w. gdzieś się zapodziała...

A czy uważa Pan, że Polska powinna była wtedy angażować się w ruch prometejski?

Powinna, choć było to chyba zbyt wiele na nasze barki. Mieliśmy wiedzę wynikającą z sąsiedztwa i historii. Jednak w sensie organizacyjno-finansowo-wywiadowczym niestety nie mieliśmy możliwości bycia pełnoprawnym partnerem, bo nie mieliśmy pieniędzy. Natomiast można było i należało prowadzić działalność naukową, popularyzatorską. Jednak aby prowadzić aktywność wywiadowczą na dużą skalę, by tworzyć grupy wpływu, trzeba było być silnym i bogatym państwem.

Czy ówczesna Polska miała inny wybór niż prowadzić wobec agresywnego sąsiada taką właśnie politykę swoistego powstrzymywania?

Polska w okresie 1921-1939 nie miała żadnych szans zmierzenia się z obu totalitarnymi sąsiadami. Zawadzała i Hitlerowi i Stalinowi. Była krajem na dorobku, a zachodni sojusznicy byli słabi i wcale nie propolscy. O żadnej polityce „powstrzymywania” nie mogło być mowy. Byliśmy na to zbyt słabym graczem.

A czy dziś prometeizm ma rację bytu?

Prometeizm to nie tylko śledzenie spoistości państw poprzez obserwowanie współistnienia ich mniejszości narodowych. To również obserwowanie czynnika odległości geograficznych, poszczególnych dzielnic, republik, a nawet miast od własnych stolic. W Polsce zjawisko to jest marginalne, ale jest. Mieszkańcy Szczecina bliżej mają do Berlina, nie w sensie politycznym czy mentalnym, ale praktycznym – choćby w kwestii zakupów. Podobnie Wrocławianie, jeśli chodzi o Pragę czeską. Oczywiście nie ma to z żadnym prometeizmem nic wspólnego, ale jeśli idzie o Kaliningrad – to kto wie, nie mówiąc już o Irkucku czy Chabarowsku. Anglicy wyjeżdżający na podbój Ameryki byli lojalni wobec Londynu co najwyżej w drugim pokoleniu, potem jak było – wszyscy wiemy. Podobnie Hiszpanie w Ameryce Południowej zachowywali się wobec Madrytu, czy Portugalczycy w Brazylii wobec Lizbony. Geografia – czyli odległość to czynnik polityczny, nie tylko czysto fizyczny.

Myśli Pan o Rosji w tym kontekście?

Oczywiście. Życzę Rosji wszystkiego najlepszego, złością mnie te prowincjonalne złośliwości o różnych, drobnych przecież wpadkach organizatorów Olimpiady w Soczi. Uwielbiam rosyjską muzykę i literaturę. Ale wiem też, że

kraj którego wojska stały na Łabą w roku 1945 i wycofały się o kilka tysięcy kilometrów na wschód – nigdy o czymś takim nie zapomni. Rozumiem prezydenta Putina gdy mówi, że rozpad ZSRR był największą katastrofą XX w.

Czy Pana zdaniem Putin ma rację?

Oczywiście, że ma – ale SWOJĄ rację. A z „racją” jest tak, jak z tą częścią ciała na cztery litery – każdy siedzi na własnej.

Wierzy Pan w Rosję demokratyczną, proeuropejską, szanującą swoich sąsiadów?

Wielki lingwista z wąsami, Józef mu było na imię, mawiał w takich sprawach: „Zaufanie jest dobre, ale kontrola – lepsza”. Po rosyjsku to brzmi jeszcze fajniej – „dowieraj, nu prowieraj!” Wydarzenia na Krymie są odpowiedzią na to pytanie.

To już mamy dwa punkty „chodzące Panu po głowie” – Rapallo i prometeizm. Co z trzecim?

Piszę o nim w mych pamiętnikach kambodżańskich „Wspomnienia z Kambodży. Tuż po Pol Pocie”. To Katyń. O Katyniu nie mogłem napisać w czasach PRL książki. Ale mimo to zdążyłem, jeszcze będąc ambasadorem w Phnom Penh, napisać i nadać pocztą kurierską kilka listów do „możnych” PRL-owskiego świata. Pisałem nie w tonacji „solidarnościowej” ale z pozycji „zatroskanego członka PZPR”. Pisałem, że „jeśli nie zmusimy towarzyszy radzieckich do wykształcenia prawdy o Katyniu – to nigdy, jako PZPR nie będziemy mieli wspólnego języka z własnym społeczeństwem”. Pisałem jeszcze o pakcie Ribbentrop-Mołotow i innych takich brzydkich sprawach.

I co – nie zamknięto Pana?

Za takie rzeczy się już wtedy nie zamykało. Po prostu polskiego ambasadora – czyli mnie – odwołano z placówki (ale kulturalnie, z półrocznym wyprzedzeniem) i zwolniono z pracy. Trochę byłem bezrobotny. (śmiech)

Dziękuję za rozmowę.

